

Krystyna Kwiatosz

Nagranie relacji i zredagowanie maszynopisu: Janina Wołczuk

Temat: Ziemia Lidzka...



Krystyna Kwiatosz z domu Grzywacz, urodzona w Niecieczy, pow. Lida, gmina Bielica. Ojciec był osadnikiem, dostał w Niecieczy gospodarstwo, był jednym z 22 osadników. Inni osadnicy: Bińkiewicz, Kaczmarczyk, Rogoźnicki, Tebota, Tubielewicz, Gierczak, Wołos, Witkowski. Był też wśród osadników jeden oficer, był najbogatszy. Nie pamiętam nazwiska, ale koło jego domu zawsze chodziłam do szkoły - tam były psy. Obejście jego było ogrodzone, miał służbę, mówiono o nim "pan pułkownik".

Osadnicy mieszkali "perozrzucani" - każdy na swojej ziemi. Chodziłam do szkoły do Niecieczy /była też wieś o tej samej nazwie/, szkoła była od naszego domu w odległości około 2 kilometrów.

Mój ojciec pochodził z Białej Podlaski. Nie wiem, skąd byli pozostali osadnicy.

Moim nauczycielem w szkole, wychowawcą był Ankudowicz /jest tu podpis na moim świadectwie szkolnym/. Szkoła nosiła imię Kazimierza Pałaskiego.

Ludzie w osadzie żyli lepiej niż we wsi Nieciecz. Do mojego ojca przychodzili ludzie ze wsi do prac polowych. Tam gospodarze mieli mało ziemi - po 1 ha, po 2. A my mieliśmy 24 hektary. Mieliśmy dużo koni, krów, nowe zabudowania. Krowy pasł wynajęty pastuch, mieliśmy też parobka - miał na imię Piotruś. Piotruś mieszkał u nas, był sierotą, pochodził gdzieś z sąsiedniej wioski. On nie przyjechał do Polski; kiedy nas wywozili w 1940 roku, to go w domu nie było. Piotruś był u nas w rodzinie tak jak syn.

W naszym domu mówiliśmy po polsku. We wsi mówiono więcej po białorusku, ale w szkole wszystkie dzieci też mówiły po polsku. W szkole było widać zewnętrzną różnicę pomiędzy dziećmi osadników i dziećmi wiejskimi: my byliśmy lepiej ubrani, mieliśmy buty - a oni często chodzili boso; dzieliliśmy się czasami z nimi drugim śniadaniem /chlebem czy czymś innym/. U nas w domu na święta mama zawsze napiekła ciasta, kupowaliśmy u przyjeżdżającego Żyda to, co było potrzebne - a na wsi była bieda. Żyd przywoził śledzie, mięso; obwoził to po osadnikach, bo oni mieli pieniądze i kupowali.

Maszyn rolniczych takich jak teraz wtedy nie było. Ojciec miał chyba 4 konie, młócił koniem /młockarnią/, cepem już się nie młóciło.

W Niecieczy był Dom Ludowy. Jako harcerki chodziłyśmy do tego domu, mówiłyśmy wiersze, występowałyśmy w mundurkach /Miałyśmy lilijki, sznury przy mundurkach/. Występy były na święta państwowe.

Krystyna Kwiatosz c.d.

Był też w Niecieczy kościół. Tam poszłam do Pierwszej Komunii. Przygotowywałam się do tej uroczystości na trawie koło kościoła. Sukienek takich białutkich, jak teraz, nie miałyśmy, to były może płócienne sukienki. Chodziliśmy do kościoła w niedzielę, chodziłam też na katechizm /katechezę/.

Kiedy w 1939 roku przyszli Rosjanie, to szkoła w Niecieczy była nadal czynna. Chodziłam do szkoły. Nie było już jednak poprzedniego kierownika - ~~jego nazwisko nie pamiętam~~ on uciekł. Po rosyjsku w Niecieczy się nie uczyłam, dopiero w Rosji. Z tego 4-miesięcznego pobytu po wkroczeniu Rosjan /póki nas nie wywieźli/ zapamiętałam, jak Rosjanie rabowali sklep. W Niecieczy był sklep, biegałam tam po cukierki, kiedy miałam parę groszy /właśnie tym się dzieliłam z dziećmi ze wsi/. Rosjanie, kiedy przechodzili koło naszego domu, zawsze prosili mamę: "Mamasza, daj sała" - byli głodni.. Ale pod domach nie chodzili, nie było żadnych rabunków.

Nie spodziewaliśmy się wywózki. W jedną noc obstawili osadę wojskiem, podstawili furmanki /jedną czy nawet dwie pod nasz dom/ żołnierze byli z karabinami - równocześnie u wszystkich osadników /a Bińkiewiczów wywieźli nieco później, nie wiem dlaczego/.

Wpadli w nocy do domu, kazali się ubierać. Ojca postawili pod ścianą, nie pozwolili ruszać się. Mamie kazali ubierać dzieci i zbierać się - dzieci w płacz, mama cała rozstrzęsiona. Chciała zabrać obrączki /bo miała i złoto i futro/, te obrączek nie pozwolono brać ; ale mama i tak schowała to - i potem na Syberii bardzo nam się to przydało. Mieliśmy w spiżarni słoninę /na święta było świnobicie/, ale nie pozwolono mamie wziąć nic ze spiżarni, nawet z wypieczonego przez mamę chleba pozwolono zabrać tylko bochenek - tak że wzięliśmy tylko odzież - i na farmankę. Mama jednak trochę jedzenia chwyciła. Potem może z miesiąc staliśmy załadowani do wagonu towarowego w Baranowiczach - a oni wciągnęli ludzi. Wpuszczali tylko raz dziennie za swoją potrzebą, potem tylko przesunęli wagon w inne miejsce, bo wszędzie były już kupy.

W wagonie ludzie zrobili dziurę, żeby trochę wyjrzeć na świat. Kiedy ruszał nasz pociąg, to nie wiem skąd - zjawił się na dworze ksiądz - i nas błogosławił. Skąd on się dowiedział, że właśnie tego dnia odjeżdżamy? Przecież staliśmy tam parę tygodni!

W Baranowiczach dawali nam gorącą wodę, czasami rzucili jakiego chleba; ludzie jedli to, co kto miał. Ludzie ze wsi z Niecieczy dowiedzieli się, że stoimy w Baranowiczach i przyniesili

Krystyna Kwiatosz c.d.

nam jedzenie. Ale do wagonów nie wolno było podchodzić, bo strzelano. Jedna pani z naszego wagonu - Tarasiewiczowa /też z Niece czy/ uciekła. To było ją już za Baranowiczami: kiedy nas wypuścili za swoją potrzebą, to ona poszła szybko w las, strzelali za nią, ale ona nie wróciła /nie wiem, co się z nią stało/. Zostawiła w wagonie męża z dziećmi /chyba troje dzieci/, to najmłodsze dziecko potem zmarło. Moja mama pomagała się opiekować tym dzieckiem. Byli z nami jeszcze Domański i Musiał. Dziecko Tarasiewiczowej zmarło już na Syberii - wszy je zjadły i głód.

Nie pamiętam, jaką trasą jechaliśmy. Z pociągu wyładowali nas na śnieg - i od linii kolejowej jechaliśmy jeszcze 150 km - najpierw traktorami, potem saniami od kołchozu do kołchozu i jeszcze ze 30 km od najbliższego kołchozu w las. Rzucili nas do drewnianych baraczków, w takim pokoiku /może 12 m²/ to było nas 2 rodziny. Posiołek składał się z kilku baraków. Były 3 posiołki w pobliżu - Kerdon, Kurianowo i Bojcy. My byliśmy w środkowym. W tych posiołkach byli tacy jak my zesłańcy. Było też dużo wywiezionych księży.

Mieliśmy w posiołku polskiego felczera. Siostra moja odmroziła twarz /chodziliśmy tam w fufajkach i plecionych kapciach/, to ten felczer przychodził i mówił, czym twarz smarować. Ale nie było oliwy ani nic innego.

Zbieraliśmy grzyby, jagody, pokrzywy. Suszyliśmy pokrzywy. Mama miała te obrączki i lepsze ubrania. Te wymieniało się m.in. na sól, bo bez soli nic się nie sje. Pewnego razu ojciec poszedł po sól i tydzień go nie było. Przywiózł nam czarną sól - w grudzie. Mama moczyła tę sól i przyrządzała pokrzywy. Zrobiliśmy też drewniane łarna - a drzewa tam było dużo. Spaliśmy na takim dużym rosyjskim piecu, nie mieliśmy poduszek ani nic, spaliśmy przytuleni jeden do drugiego. Gdyby nie ten piec, to zmarlibyśmy chyba.

Ile ludzi tam zmarło! Mojego brata, który teraz jest w Chicago, też wyniesiono już na noszach, jak zmarłego, żeby pochować. Ojciec mój żył dobrze z komendantem, bo mu wszystko szył. Komendant przywiózł ze wsi cebulę i czosnek /myśmy nawet tego nie mieli/ i kazał podawać bratu. Zaczęliśmy go kurować i brat "odżył". Zmarłych zimą chowano tylko pod śnieg. Na wiosnę, a śnieg topniał tam dopiero w maju, komendant zbierał ludzi i wtedy dopiero zakopywano te trumny do ziemi w lesie /w czerwcu/. Krzyży nie pozwalano stawiać, ale ludzie ukradkiem stawiali. Nie było wydzielonego cmentarza, każdy chował zmarłego swojego gdzieś

Krzyszyna Kwiatosz c.d.

w lesie. A Polaków zmarło tam dużo - z chorób. Ja sama chorowałam dwa razy - raz j na krwawą dezynterię, na kurzą ślepotę i na tyfus. A świerzb i wszy to mieli wszyscy. Na tyfus chorowałam na Suchoj Bałce. Byłam nieprzytomna. To było już pod Odessą. Ponad dwa tygodnie miałam powyżej 40^o, ale jakoś wyszłam z tego - mama koło mnie chodziła.

W lesie pracowaliśmy ciężko, okropnie. Siostra jak poszła na spław drewna, to nie było jej czasami w domu cały tydzień. Siostra była z 1924 roku i takie jak ona dziewczyny wykonywały taką ciężką pracę fizyczną. A my mniejsze dzieci - zbierałyśmy gałęzie na kupę. Rodzice też oboje pracowali. Chleb był na kartki, osoby pracujące dostawały po 400 gram, a nie pracujące - po 200. W stołówce dawali też grzyby - wołnuchy - i zupę-lurę z brukwi czy czegoś takiego. W stołówce gotowały Rosjanki. Ale my zbieraliśmy jeszcze ziele i mama dogotowywała jeszcze coś w domu, bo byśmy pomarli na tym ich jedzeniu.

Kiedys ojciec przyniósł amerykański koc, trochę łachów i jakąś żółtą zupę. To Ameryka zrzucała nam z samolotów, bo Amerykanie dowiedzieli się, że jesteśmy w tych lasach. Zupa była w proszku w pudełku. Ale połowę tych darów amerykańskich pozabierali oni. Przyszło to też trochę lekarstw.

4e strony ojca mieliśmy ciocię w Brześciu. Ona nam przysłała nam kilka paczek. A w Niemceczy nie mieliśmy żadnej rodziny i nie dostawaliśmy stamtąd paczek. A potem paczki od ciotki urwały się. Dostaliśmy też od ciotki w paczce list, ocenzurowany.

Kiedy już mieszkaliśmy na Suchoj Bałce /pod Odessą/, to mieliśmy kontakt z kołchoźnikami - Rosjanami. To nie byli źli ludzie. Ja umiałam robić na drutach, wykonywałam im robótki, a oni za to przynosili mi mleko. A na Syberii mieliśmy kontakt tylko z komendantem Rosjaninem. A do kołchozu trzeba było iść 20 km czy ileś. Ojciec jeździł tam wymienić coś na żywność, czasami nie było go ponad tydzień, bo szył ludziom i za to coś mógł przywieźć dla nas, na saneczkach. Komendant odnosił się do ludzi różnie. Ojciec mój chodził na przesłuchanie, a raczej jeździł z tego posiołka - gdzieś wzywany. Nie było go wtedy 2-3 dni. Pytałyśmy mamę, gdzie ojciec. Mama odpowiadała, że zaraz wróci. Wszystkich mężczyzn tak wzywali. Ojcu nie wolno było opowiedzieć, czego dotyczyły te przesłuchania.

Polacy żyli ze sobą w tych warunkach bardzo zgodnie. Moje dzieci nie dają teraz wiary, że można było żyć w takich warunkach. Ludzie bardzo dużo modlili się, wieszali na ścianach jakieś

Krystyna Kwiatosz c.d.

obrazki, ale komendant krzyżki, ale komendant przychodził i wszystkie ze ścian ściągał - nie wolno było! Polacy zbudowali tam dużo nowych baraków z drewna, zbudowali most przez rzekę, szkołę. Tam Polacy pracowali jak woły. Chodziliśmy do tej szkoły - same polskie dzieci i rosyjskie nauczycielki. I w tej szkole nie wolno nam było po polsku rozmawiać. Musiałyśmy na Wielkanoc i na Boże Narodzenie iść do szkoły. Wzięliśmy książeczki do nabożeństwa i śpiewaliśmy pobożne pieśni. Nauczycielka zaczęła wrzeszczeć, przyprowadziła komendanta. A komendant na nas. Śpiewaliśmy "Wesoły nam dziś dzień nastał" i inne pieśni. Nauczycielka już dobrze wiedziała, co my śpiewamy. Uczyłam się tam niewiele, bo trzeba było iść do pracy. Umiałam już mówić po rosyjsku, czytałam i pisałam wszystko. A jak przyjechaliśmy już tu na Zachód, to tak nam się mieszały te litery polskie i ruskie, bardzo źle po polsku wymiawialiśmy. Na granicy w Przemyślu nas przezywano: "To nie Polacy jadą! To komuniści!" A myśmy tak chcieli do Polski!

Na modlitwę ludzie zbierali się w jednym z baraków, późno wieczorem. A nabożeństwo majowe odprawialiśmy gdzieś w lesie, żeby nas nikt nie słyszał, gdzieś na polanie. Ludzie niektórzy mieli książeczki do nabożeństwa, niektórzy modlili się z pamięci. Myśmy wiedzieli z kalendarza, kiedy jest święto. A Rosjanie nie uznawali takich świąt - tylko 3-go Maja. Na 1-go Maja musieliśmy iść w pochodzie przez ten posesłek. Dzieci szkolne z nauczycielką musiały z czerwoną chorągwią ze trzy razy obejść posesłek. Robili z nas takich komunistów. Dorosli nasi może też i wiedzieli coś o polityce, ale ludzie zbyt dużo nie rozmawiali, bali się aresztowań.

Przed wojną w Niecieczy mieliśmy gramofon, może ojciec miał już i radio. Siostra była starsza ode mnie, to zawsze przyprowadzała koleżanki słuchać płyt na gramofonie. Ojciec prenumerował gazety, listonosz to przynosił. Mieliśmy też w domu dużo książek. Brat uczył się w gimnazjum więc miał książki. Ojciec też miał dużo książek. Kiedy pastuch dostawał wolne, to myśmy paśli krowę. Brałam wtedy ze sobą książkę do czytania. Wykradałam ojcu książki i czytałam. Ojciec bardzo lubił książki.

Kiedy weszli Rosjanie w 1939 roku, to już ani siostra ani brat nie poszli do szkoły. My jeszcze na miejscu chodziliśmy do szkoły, bo było blisko we wsi.

Brat mój potem z tajgi poszedł do Arni Andersa. Niektórzy ludzie wyjeżdżali z rodzinami, z dziećmi. S Ale nasza mama bała się ryzykować.

W posesłku mieliśmy na słupie głośnik. Przez ten głośnik czasami ogłaszali jakieś komunikaty. Ale skąd ludzie dowiedzieli się

Krystyna Kwiatosz c.d.

o Armii Andersa - nie wiem. Nasz ojciec też wtedy chciał iść do wojska, ale mama nie puściła - musiałaby zostać z sześciorgiem dzieci. A później i tak musiał iść - i poszedł. A jak brat wychodził to mało co pamiętam. Teraz to bym go nie poznała, a mama go poznała. Brat przyjeżdżał z Ameryki już 2 razy.

A potem ojciec musiał iść. Wymietli wszystkich od 16 do 60 lat. Ale dziewczyny szły chyba na ochotnika. Najbardziej tyrała potem nasza siostra Jadwiga, bo jak ojca nie było, to ona musiała nas żywić. Nie dostawaliśmy żadnej zapomogi z tytułu służby ojca. Tyle tylko było łzej, że nas wywieźli do Odessy wcześniej, a rodziny, w których nie było nikogo na froncie, zostały jeszcze w lesie. Nie wiem, co się z tamą tymi ludźmi stało. Ludzie, którzy zostawali w lesie, płakali, zazdrościli nam, bo wiedzieli, że w Odessie jest ciepło.

Ale my musieliśmy znów ten klimat odchorować. Mieszkaliśmy tam w lepiankach; tam drzew nie było, był step. Ziemia pękała, cała czarna. Rodziła tam kukurydza i pszenica, ale wszystko było zaniedbane. Mieliśmy tam już kukurydzę, mąkę kukurydzianą, od czasu do czasu także mleko - mogliśmy już gotować. Paliliśmy suchym krowim żajnem.

Wieczorami i w niedziele dorabiałam na drutach, mama przędła wełnę /tam były w sowchozach owce/. Siostra chodziła do kombajnu młócić, to czasem w kieszeni przyniosła trochę zboża, bo tak jawnie też nie można było wziąć.

W jednym poseszku /koło Odessy/ mieszkali z nami Kaczmarczykowie; niedaleko była Tobotowa. Byli też Harasimowicze /ale oni nie byli z Niecieczy/ - też gdzieś spod Lidy. Harasimowicze mieszkają teraz w Warzęgowie. Harasimowicz miał same córki. Była Czesia, Pella, Jasia i jeszcze jedna. Wszyscy wrócili do Polski, ale ojciec już nie żyje.

Koło Odessy już ludzie nie umierali. Chorowaliśmy tylko na tyfus: ja chorowałam ciężko i ode mnie zaraził się brat Mieczysław. Spaliśmy wszyscy razem, ale tylko on się zaraził. Brat spał na jakiejś półce za piecem i jak wstał po chorobie, to zaraz się przewrócił. A mnie matka po chorobie sadzała, bo nie mogłam sama usiąść. Wyszły mi wszystkie włosy, jeszcze w pociągu wracałam "łyśa". Siostra mówiła potem, że ja tylko błagałam Matkę Boską o ratunek.

W tym sowchozie /w Suchoj Bałce/ było dużo polskich rodzin, ale nie z Niecieczy. Ale większość stanowili ludzie miejscowi. Stosunki nasze z nimi układały się bardzo dobrze. Ludzie ci przychodzili do nas. Brat mój miał kolegę Rosjanina. Jak my jechaliśmy już do Polski, to on płakał i prosił, żeby go zabrać też do Polski

Krystyna Kwiatosź c.d.

Tam wioszczki małe były gęściej, nie tak jak na Syberii. Tam już nas nikt nie prześladował, można było i w domu i na polu rozmawiać po polsku, można było się modlić. Tam byli też niektórzy ludzie wierzący - prawosławni. Do jednej pani przyjeżdżał pop. Ludzie mieli w domach obrazy.

Dotarliśmy od ojca może ze dwa listy. Nie mieliśmy już przy sobie ojca i dwóch braci, bo jeden poszedł z Andersem, a drugi razem z ojcem. Ojciec szedł razem z bratem, początkowo byli osobno, ale ojciec ściągnął go do siebie. Potem brat był ranny, a ojciec zginął na Wale Pomorskim. Brat leżał w szpitalu gdzieś koło Warszawy.